Rok II. Kraków, dnia 16go Czerwca 1870. Ner 12.



wychodzi 1go i 16go każdego miesiąca.

PRENUMERATA: wynosi rocznie 4 złr. lub 2 tal. 15 sgr. — Półrocznie 2 złr. lub 1 tal. 8 sgr. — Kwartalnie 1 złr. lub 20 sgr.
LISTY I PRENUMERATĘ przesyłać należy pod adresem: Do redakcji „Włościanina“ plac Szczepański dom Szajrycha.
OGŁOSZENIA przyjmuje się po 4 centy za miejsce drobnego wiersza, z dopłatą 30 cent. za stempel, za każdorazowe umieszczenie.

Pisanie Józefa z Bochni do pana Pisarza Włościanina.

Kochany Panie Pisarzu! Znacie dobrze Macieja Szarka, włościanina ze wsi Brzegi pod Wieliczką, boście o nim piękne rzeczy pisali w Waszém piśmie. Otóż i ja nie chwaląc się, jestem jego dobrym znajomym i znam go jak się patrzy. Donoszę wam także o nim rzecz piękną, którą w swojém piśmie łaskawie wydrukujecie. Napisał on do mnie list tymi dniami; pozdrawia mię w największej szczerości serca, i przysyła mi dwie rzeczy, które sam napisał ze swojej głowy, prosząc, abym w jego piśmie poprawił to, coby się mi niedobrem wydało, i posłał do Waszego pisma. Czynię to z największą ochotą i posyłam Wam rzecz jednę, z czego się przekonacie należycie, że poprawek było bardzo mało, bo tylko znaki porobiłem. Rzecz ta podobała mi się nadzwyczajnie, to też myślę, że ją czytać będę w Waszem piśmie. A jest ona następująca:

Rozmowa dwóch Włościan.

Wawrzek. Już to mnie najgorzej na świecie; nic człowieka nie cieszy. Wszystko nie tak, jakby pragnął...

Józef. Ej, Wawrzeńcze, nie grzeszcie! Nie ma tam u was wielkich dostatków to prawda, ale wielu ludziom gorzej od was!...

Wawrzek. Albo to prawda?

Józef. Macie żonę poczciwą; macie dobre dziatki...

Wawrzek. No ani gadania, że i żony drugiej takiej nie znajdzie; i dziatki dobre, niech im Bóg błogosławi!

Józef. A widzicie! A wieluż jest takich, u których i żona nicpoń i dzieci hultaje! —

Wawrzek. No, to prawda; ale oprócz tego, to wszystko lepiej u ludzi.

Józef. Pracujecie poczciwie, więc chleba wam, Bogu dzięki, nigdy nie brakuje, a u drugich to taka nieraz bieda, że siekierę by na niej zawiesił...

Wawrzek. A bo próżniaki, wałacze! U nas chleba dosyć; tylko mało ochoty do pracy.—

Józef. Macie zdrowie, mój Wawrzeńcze! Chałupa wasza nie zna co choroba.

Wawrzek. To też tylko tyle mego bogactwa, a zresztą wszystko lepiej u ludzi!....

Józef. Ej, nie grzeszcie, mój Wawrzeńcze, bo i ja kiedyś tak jak wy mówiłem, i z tego wyrzekania tak straciłem ochotę do wszystkiego, że mi się nie chciało niczego. Tylko zawsze wyrzekałem; wtedy dopiero przyszła na mnie prawdziwa bieda, tak, że jak buty z nóg zleciały, to nie było drugich za co kupić. A że wypadło mi iść w drogę, więc nie było rady — i wybrałem się na bosaka. Pamiętam, jak dziś, było-to jesienią rano; nawet łapały przymrozki i droga zmarznięta bryłami kłuła, jak szpilkami; krzywiłem się, kurczyłem i wyrzekałem, bo nogi od podeszew kłuło, a z wierzchu mroziło. Ale nie było rady, sprawa była pilną: trzeba było dalej iść bosakiem. Wtenczas dopiero, jużem był pewny, że nie ma nieszczęśliwszego człowieka nademnie, bo przy bosaku, jak się możecie domyśleć, było głodno w brzuchu. Chłodno na grzbiecie a pusto w kieszeni, więc idę, idę, i stękam i płaczę nawet, i tak dowlekłem się do miasteczka. Kiedym chciał wejść do Kościoła, patrzę, a tu siedzi na drodze jakiś ubogi i nie ma nóg, tylko szczudła. Oj zaraz umilkłem, bo przekonałem się dowodniej, że są jeszcze nieszczęśliwsi odemnie. Na pamiątkę tego nauczyłem się małej bajeczki, którą wam powtórzę i radzę się nauczyć:

Skarżyłem się na ludzi, skarżyłem na losy,
Gdy musiałem iść w drogę ubogi i bosy;
W tem, gdy razu onego do kościoła wchodzę,
Postrzegłem, leży żebrak bez nogi na drodze...
Nauczył mię tem bardziéj milczeć ów ubogi —
Lepiéj mnie bez obówia niż jemu bez nogi!

Od tego czasu, mój Wawrzeńcze, zaprzestałem narzekania, a chwyciłem się pracy i Bogu dzięki, ani chleba, ani grosza nigdy mi nie brakuje. Tak i wy, mój Wawrzeńcze, nie narzekajcie, tylko pracujcie, i nie patrzcie na tych ludzi, co im się lepiej od was powodzi, ale na takich, co im gorzej na świecie!

Wawrzek. Ha — może i przy was prawda, mój Józefie, więc spróbuję!

Józef. Spróbujcie, spróbujcie, a zaręczam wam, że kiedyś mi podziękujecie za poczciwą radę!

Maciej Szarek,
włościanin z pod Wieliczki.

Brzegi d. 29 Maja 1870 r.

Serce się raduje, że Maciej Szarek oprócz bardzo pięknych rzeczy, które wykonał dla dobra swojej wioski i kraju całego, teraz bierze się znowu do pióra i sam wedle swego przekonania naucza ludzi. Daj mu Boże wszelkiej wytrwałości na nowej drodze; niech pisze, ile starczy czasu, a praca jego pewnie nie będzie marną. Ma on dobry skład w swojej głowie, bo czyta wiele i rozumnie zastanawia się nad rzeczami. Oby ten piękny przykład pobudził innych włościan do naśladowania, a wtenczas moglibyśmy się z prawdziwą wiarą spodziewać lepszej i szczęśliwszej przyszłości. Dziękuję tu na tém miejscu serdecznie Maciejowi Szarkowi za jego chlubne prace i proszę go, aby nie zapomniał o najżyczliwszej radzie, którą mu tutaj podaję. A i was, panie Pisarzu pozdrawiam uprzejmie i oddaję opiece Pana Jezusa.

Życzliwy wasz Sługa
Józef z Bochni.

Jakim sposobem Walek Smyk stał się porządnym człowiekiem?

Długoby człowiek musiał szukać po świecie, nimby znalazł tak sprytnego chłopca, jakim był Walek Smyk we wsi Kliczanach.

Kiedy miał lat trzynaście, odumarli go rodzice, którzy byli bardzo ubodzy; zwyczajnie jak wszyscy wyrobnicy. Owóż krewni Kazimierzowie nieco od nich zamożniejsi, wzięli go do siebie, ale nie wiedzieli że gdy się sierotę bierze do swojego domu, trzeba się o nią starać jak o własne dziecko i zawczasu zaprawiać ją do roboty.

Walek chodził samopas dzień cały; Kazimierzowie nie doglądali go nigdy, toć też nic nie robiąc, spróżniaczył się, jak to mówią: *na cygański batóg*; wyrządzał ludziom wielkie szkody: to w polu to w ogrodzie; niekiedy znowu, gdy mu się i wziąść co wydarzyło, porwał jak swoje i uciekał do domu.

Gospodarze zpoczątku cierpieli sprawki Walkowe, ale gdy im się nareszcie już uprzykrzyło, poszli do Kazimierzów i opowiedzieli jak się rzecz miała. Krewni zawołali Walka do siebie i zamiast zająć go jaką uczciwą pracą, przez co byliby położyli koniec jego próżniactwu, z którego wszelkie złe wyrasta, powiedzieli do niego:

— Kiedy się dopuszczasz takich szkaradnych rzeczy, ruszaj z naszéj chaty na cztéry wiatry, bo cię i tak z łaski trzymamy!

I poszedł Walek od swoich krewnych, a nienauczywszy się niczego, wałęsał się od wsi do wsi i ściągał po trochu, co mu się udało, gdy mu głód dokuczał.

I tak po niejakim czasie wyrobił się on na dobrego rzezimieszka, a że miał sprytu nie mało, trudno się przed nim ukryć było można.

Kradł jak sroka; dlatego go też wszyscy we wsi Smykiem nazywali, chociaż on się właściwie Walek Kurzeja uazywał. Gdzie się tylko ruszył, dzieci wybiegały i wołały:

— Patrzcie! Smyk idzie!.... Smyku! Smyku! uwiążą cię na rzemyku!

Walek z téj racyi rzucał na nie kamieniami, za to téż często gęsto oberwało mu się śniadanie lub suta wieczerza kijem od gospodarzy.

Nie można go było oddać do aresztu, bo go nikt nie złapał na gorącym uczynku, tembardziej że on swojskim gospodarzom nie robił psoty, jeno zakradał się do sąsiednich wiosek, a nawet i do miasta.

Sprytny bo ci był z niego chłopak i tylko z próżniactwa kierował się na złodzieja, chociaż nie był urodzony na niego, o czém się z jego dziwnego przytrafunku przekonać możecie.

Poszedłszy raz do miasta, zakradł się do jednego sklepu i zamiast brać większe rzeczy, na które w prawni złodzieje czatują, chował niegaszone wapno, rozumiejąc, że to kreda. Nabrał pełne kieszenie i niesie do żyda myśląc, że mu da wódki albo co do zjedzenia.

Idzie sobie ulicą, pogwizduje wesolo, w tém zdybał Jędrka, jadącego dwoma końmi do stawu.

— Hej Jędrek! weźże mię z sobą! zawołał Walek a gdy Jędrek przystanął na chwilę, wsiadł na drugiego konia i cwałem jechał za Jędrkiem.

Walka koń był okrutnie niespokojny i lękliwy, to też gdy wjechał na nim we wodę, koń począł wierzgać i stawać dęba; Walek nie mogąc się utrzymać, wpadł do stawu.

— O rany Boskie, gwałtu, ratujcie! bo zginę.... bo się spalę! — wołał rozpaczliwie, ponieważ mu się niegaszone wapno zapaliło we wodzie i piekło do żywego.

Na takie wołanie zgromadzili się ludzie, wydobyli Walka z wody, jednakże po całem ciele porobiły mu się pęcherze, które go tak osłabiły, iż nie mógł podnieść się ze ziemi.

Zawieziono go do szpitalu, gdzie wyleżawszy dobre dwa miesiące, przyszedł do siebie, poczem dostał tęgie smarowanie na drogę i poszedł zkąd był rodem!

I teraz znowu chwycił się on złodziejstwa, chociaż miał zdrowie od Pana Boga, coby sobie uczciwie mógł zarobić na kawałek chleba. Ale nie umiał się czém innem zatrudnić, bo się niczego nie nauczył a takie życie wydało mu się dosyć przyjemne. Do służby się mu iść nie chciało, bo nie wiedział, do czego by był zdatnym, a powtóre nie miał odwagi na tyle, aby kogo prosić o służbę. Była to wina jego krewnych.

Owóż niedługo potém zakradł się nocą do stajni bogatego kmiecia Jana Grzybały i już co tylko

miał wyprowadzić konia, gdy w tém parobek przytrzymał go silnie ręką, przywiązał do słupa, przykторym zostawił go do samego rana. Nad ranem przychodzi Grzybała do stajni i pyta parobka:

— A co to za chłopak uwiązany?

Na to powie parobek:

— Widzicie mój gospodarzu! ten włóczykij wpadł dziś w nocy do stajni i wyprowadzał już konia, alem się na szczęście obudził, przytrzymałem kanaliją i uwiązałem przy słupie, abyście się z nim rozmówili.....

— Ha, dobrześ zrobił! — zawoła Grzybała — Parobek powinien być czujnym!

Pokiwał potém głową i tak mówi do Walka:

— Nie szkoda cię to, mój chłopcze? Cóż cię do tego skłoniło?

— Głód mię skusił, dobry gospodarzu! — odpowiedział Walek i upadł mu do nóg.

Grzybała wpatrywał się ciągle w niego, bo mu się jakoś spodobał. I jakże nie miał mu wpaść w oko, kiedy to był chłopak rosły i urodziwy i dość mu dobrze z oczu patrzało. Wtém nadchodzi Grzybałowa i mówi:

— No i złapaliście ptaszka! A dajcież mu dobre garbowanie i odeszlijcie do wójta, niech próżniaka odda do powiatu.

— Hola stara! — przemówi Grzybała — ty się do tego nie mięszaj, idź sobie do krów, a ja się z nim bez ciebie rozprawię!

Grzybałowa spojrzała krzywo na męża, pomruczała coś pod nosem i odeszła ze stajni. A Grzybała tak mówił do Walka.

— A z kądżeś ty chłopcze?

— Ja jestem z Kliczan; rodzice mi pomarli; byłem na łasce u krewnych, ale oni o mnie nie dbali. Wałęsałem się z miejsca na miejsce, nic robić nie umiem, a jeść mi się chce; to cóż mam czynić, jak tylko obmyślać, czy mi się co ukraść nie uda?

— A miałbyś ty chęć do roboty? — zapyta Grzybała.

— A któżby mię przyjął — odezwie się Walek kiedy ja nic robić nie umiem.

— Nie turbuj się o to — zreknie Grzybała — tylko mi powiedz czybyś miał ochotę do roboty?

— Jabym tam i robił, gdyby mię kto nauczył — przemówił Walek z płaczem.

Wtedy rzekłie Grzybała:

— Owoż ja cię zostawię na próbę u siebie. Jeżeli się będziesz sprawował dobrze, to ci dobrze u mnie będzie, ale gdy się niepoprawisz i nie będziesz z tego korzystał, iż ci chę dać kawałek chleba do ręki, abyś kraść niepotrzebował — zobaczysz co cię spotka!

Całował Walek ręce i nogi Grzybale i przyobiecywał, że się poprawi i będzie robił, co mu tylko każe.

Grzybała kazał mu zaraz wynosić gnój ze stajni — i poszedł do żony, aby mu dała śniadanie.

— I cóżeś zrobił z chłopcem? — zapytała żona — odesłałeś go do wójta?

— Nie zostawiłem go u siebie....

— Tak sobie rób! — zawołała Grzybałowa. — Przechowuj złodziei u siebie, to dobrze na tem wyjdziesz! Jeszcze z torbą pójdziesz sam po żebrach!..

— Ale dajno spokój, moja kochana! — powie Grzybała. — To niesztuka obić chłopca i oddać do aresztu. Jakiż będzie z tego pożytek gdy go wypuszczą, będzie złodziejem na nowo. Lepsza będzie poprawa dla niego, gdy mu się da sposobność do życia nauczy się się go pracy, to tym sposobem odwyknie od złodziejstwa, bo będzie sam umiał uczciwie zarobić sobie na kawałek chleba.

Siérota to biedna, nie nauczył się niczego, krewni go wygnali, więc musiał się chwycić kradzieży, bo się nikt nie znalazł, ktoby go odwiódł od tego złego. On temu nie winien. Nauczymy go pracy, a gdy potém jeszcze kraść będzie, to już dobre przekonanię, że w nim jest żyłka złodziejska. Dotąd był złodziejem z potrzeby.

— Dobrze, dobrze! — rzekła Grzybałowa — rób co ci się podoba, żebyś tylko kiedy nie żałował.

— Ależ moja kochana! — odpowiedział Grzybała przecież wiész dobrze, że lenistwo jest matką wszystkich występków. On z lenistwa chwycił się kradzieży, bo cóż miał robić? Chłopak młody, da się jeszcze poprawić. Mam taką otuchę. Nie robił tego z umysłu, ale jak powiadam, z potrzeby. Wiész przecie, jak to ksiądz pleban mówił w kościele. — Ten z ludzi najdoskonalszy, który dla bliźnich jest najużyteczniejszy. Bądźmy dla chłopca użytecznymi a może odwyknie od złodziejstwa. Pamiętaj i o tem com wyczytał z książki:

Kto siérocie dom otworzy
I poda jéj kąsek chleba,
Temu w zamian z łaski Bożéj
Błogosławią stokroć nieba.
Lecz kto oprócz pożywienia
Podał pokarm jej niebieski,
Wskaże drogę do zbawienia —
Jakże wdzięcznej godzien łezki?..

Zostawmy chłopca u siebie, on się pograwi! Gdy nam się to uda zrobić, Bóg nam tego nie przepomni.

I ledwie nie ledwie dała się namówić zagniéwana Grzybałowa. Zezwoliła na to, aby Walek pozostał u nich w domu. Dała mu też zaraz śniadanie.

I pasł odtąd Walek krowy na błoniu, pomagał w domu i w polu, zabierał się do pracy a choć go chęć ciągła nieraz do lekkiego życia, zaraz przychodziło mu na myśl — co dalej robić będzie, gdy się niczego nie wyuczy? Grzybała dawał mu dobre nauki, posyłał go do kościoła, i tak pomału Walek przywykł do pracy. Słodki się mu wydawał spoczynek i spokojną miał głowę, nie obawiając się żadnéj trwogi i kary.

A był tam niedaleko kołodziéj stary; Walek chodził nieraz do niego, przyglądał się ciekawie jego robocie, to téż późniéj, gdy pasł bydło na błoniu strugał różne drabinki, wózki koła i figurki a przytém taki był spokojny i swobodny, że sobie tak nucił:

Mój Boże, mój Boże
Ty nam dajesz siły;
Kto chce — robić może —
Ten ci pewnie miły.
Myślę o tém sobie,
Chciałbym ci być miły —
Więc co mogę, robię,
A Ty daj mi siły!

Widział nieraz Grzybała roboty jego; podobała się mu jego zręczność i swoboda, to też niebawem pomyślł o tém, aby Walka oddać do rzemiosła, bo mówił, że szkoda jego dobréj głowy.

I wnet oddał Walka podług jego życzenia do miejskiego kołodzieja, aby się wyuczył u niego rzemiosła. Walek wziął się szczerze do siekiery i wnet ci z niego majster miał pociechę, bo i spiesznie i dobrze wykonywał wszystko.

Po niejakim czasie wyzwolił Walka na czeladnika. Walek między ludźmi otarł się należycie; ubranie zawsze miał czyste i porządne, żebyś nigdy nie poznał, że to dawniejszy Walek Smyk, który przez pracę tak się odmienił. Majster go lubił, więc go dłużej zostawił u siebie. Często przybywał do niego

Grzybała, cieszył się niewymownie, że próżniaka wyprewadził na uczciwego człowieka.

— Widzisz, moja żono — mawiał często — co to z człowieka być może, kiedy się go mądrze prowadzi i od lenistwa odwiedzie. Nie jeden nie byłby złodziejem, gdyby pracować umiał i zasmakował w pracy. Cóżby było, gdybym Walusia był oddał do wójta lub go wsadził do aresztu?...

Cieszyli się Grzybałowie, cieszył się i Walenty, czeladnik, że może żyć uczciwie na świecie. Aż tu niezadługo przychodzi posłaniec od starego Grzybały i oznajmia że stary kołodziej we wsi, umarł, więc go Grzybała prosi, aby na jego miejsce przybył do wioski.

Rad nie rad pożegnał się czule ze swoim majstrem i przybył do Windowa, bo tu mieszkali Grzybałowie. Wtedy upadł na kolana przed nimi i tak mówił:

— Wy jesteście prawdziwymi rodzicami moimi, bo wyście mię wychowali i człowiekiem uczynili, a ci na większy szacunek zasługują, którzy wychowują i dadzą sposobność do życia, niż rodzice sami, którzy dziecko na świat wydadzą, a o niego się potem nie troszczą! Wam jestem winien wszystko! Byłem urwiszem, bo mię zaniedbano. Wy zrobiliście ze mnie człowieka. Z przepaści, nad którą stałem, na bezpieczne wywiedliście mię miejsce. Bóg wam zapłać stokrotnie, a ja do grobu nie zapomnę o tem!

Zalał się łzami, leżał długo u nóg swoich dobroczyńców, aż stary Grzybała podnosi go ze ziemi i mówi:

— Ty jesteś prawdziwym naszym synem, bo my nie mamy własnych dzieci!

Jest tylko u mnie córka mojej siostry; wychowaliśmy ją po Bogu uczciwie, więc ofiarujemy ją tobie za żonę, a w dodatku dajemy ci całe gospodarstwo nasze, tylko nas do śmierci chowajcie przy sobie.

Jaka wtedy była radość, jakie wesele, tego nie jestem w stanie wypowiedzieć. Wszyscy płakali jak małe dzieci a najbardziej stary Grzybała, który powiedział:

— Teraz mogę spokojnie umierać. Tyle choć dobrego zrobiłem w mojem życiu!...

Nie długo trzeba było czekać a jużci głośna muzyka donosiła każdemu, że w Windowie wesele kołodzieja Walentego z Marcjanną, siostrzenicą Grzybały starego.

Dobrzy staruszkowie patrzyli radośnem okiem na szczęście młodych małżonków i życzyli każdemu dożyć takiej słodyczy na starość i takiego obchodzenia, jakiego od młodych doznawali.

Dzisiaj dwa piękne krzyże na cmentarzu windoskim wyraźnie oznajmują, że Grzybałowie oboje spoczywają w Bogu, ale żyje jeszcze Walenty kołodziej, który chętnie każdemu powie:

Pracą i wytrwałością, można sobie pozyskać szczęście na ziemi, byle nie mieć zamiłowania w lenistwie i próżniactwie!

A kto chce drugim dobrze służyć, niech naśladuje nieboszczyka Grzybałę, a może się mu uda to samo, wypełnić czyn taki piękny. A lepiej robi ten, kto otwiera drogę do życia, niż ten, kto daje wsparcie młodym próżniakom, bo ich przez to uczy dziadostwa i odwodzi od pracy. A lepiej nieraz włóczęgę albo złodzieja jak to mówią, nie z profesji zatrzymać u siebie, niż oddać do aresztu, bo tym sposobem, odzwyczai się go od próżniactwa, zachęci do pracy, a oddając do aresztu owszem jeszcze utrwala się go w niem tem więcej — i taki człowiek może być utraconym dla społeczeństwa.

Józef z Bochni.

Dawne czasy.

Lepsze były czasy stare,
Bo lud więcej kochał wiarę;
Było szczęście, plenne zboże,
Pełno w chacie i komorze.

Lud się pewnie tak nie lenił,
Kochał pracę, bo ją cenił;
To też nie dziw, że talary
Były w chacie i wsze dary.

Bóg też mieszkał w miłych chatkach,
Darzył w pracy i dostatkach;
Mniej bywało hulatyki,
Co wyciąga z kies grosiki.

Dawniej — każdy pewnie powie —
Była siła, było zdrowie...
Jakby dęby był lud sobie,
Ledwie wiedział o chorobie.

A gdy uczta była jaka,
Każdy tańczył krakowiaka,
Lub mazura ciął od ucha,
Toś od razu poznał zucha.

A zaś stary, tęgiej tuszy,
Polonesa suwał z duszy;
Z ust płynęła pieśń wesoła,
Bo to raj był pośród sioła.

A dziś zajrzyj do gospody,
Jakieś zmiany podług mody,
Jakieś dziwne podrygasy —
Znać, że inne czasy!...

Jakieś dziwne dziś zaloty,
Brak w nich serca, brak też cnoty,
Dziś tam serce nie zabije,
Bo się jakoś dziwnie żyje...

Ginie zwyczaj nasz cnotliwy;
Strój uprzyksza się poczciwy,
A wszak dawna, piękna szata
Z przeszłością nas przecież brata.

Gdy to z czasem znikać będzie,
Smutniej będzie nam na grzędzie;
Zniknie zwyczaj, zniknie szata,
To się cudzem wtedy łata.

Wszak najmilsze to, co swoje,
Bo słodyczy w tem są zdroje;
Nie tak miłe, co nie nasze,
Nie tak tkliwe, bo nie lasze.

Oj chowajcie, bracia mili,
Co nam przodki zostawili,
Bo co od nich, to nam drogie,
To nam święte, to nam błogie.

Niech zwyczaje trwają stare,
Zawsze świeże, zawsze jare,
Byśmy byli i do tańca
I jak mówią — do różańca!

Józef z Bochni.

KALENDARZ.

Czerwiec ma dni 30.		
Dnie		Święta Rzymskie
16	Czwartek	**Bożego Ciała.** Justyny panny.
17	Piątek	Adolfa biskupa.
18	Sobota	Marka i Marcel. męczen.
Ewangelia u Łuk. św. w rozdziale 14. O wezwaniu na wielką wieczerzę.		
19	Niedziela	**2 po Świąt.** Gerwazego i Prot.
20	Poniedziałek	Reginy panny.
21	Wtorek	Alojzego Gonzagi wyz.
22	Sroda	Paulina biskupa wyz.
23	Czwartek	Agrypiny panny.
24	Piątek	*Serca Jezusa.* Narodz. ś. Jana.
25	Sobota	Gwilelma wyznawcy.
Ewangelia u Łuk. św. w rozdziale 15. O zgubionej owcy i o groszu.		
26	Niedziela	**3 po Świąt.** Jana i Pawła m.
27	Poniedziałek	Władysława k. wyz.
28	Wtorek	*Wigilia.* Leona papieża.
29	Sroda	**Piotra i Pawła** apost.
30	Czwartek	Emilii i Lucyny mm.

WSCHÓD I ZACHÓD SŁOŃCA.

Wsch. sł. d. 4	g. 3	m. 57	Zach. g. 8	m. 0	Dł. d. g. 16	m. 3
9	3	55	8	5	16	10
14	3	53	8	6	16	13
19	5	53	8	9	16	16
24	3	54	8	10	16	16
29	3	56	8	10	16	14

Urlopnik Franek ze szwagrem i z matką o robocie.

Szwagier. Trzebaby nam pójść wywlec to siano za dębowym ogrodem, bo podmokło i zgnije.

Franek. Co oni rzékają?

Szwagier. Toś głuchy?

Franek. No, ja ne bójdziem orbajtować.

Szwagier. Czegóż będziesz siedział darmo? Mięso byś jadł, fajkę byś kurzył, i gorzałki byś się napił, a pracować ci się nie chce.

Franek. Ja ne będę orbajtować, bo ja je ćisarskie dziecko.

Matka. Co ty pleciesz? Wszak ja cię rodziła!

Franek. To mnie je szecko jedno, ale ja je cisarskie dziecko.

Matka. Boże przemień! Nie dość, że mię tém szwargotaniem bałamucisz, to mi się jeszcze wyrzékasz? Tom się doczekała na starość. Żeby ojciec z grobu wstał, toby drugi raz umarł, przez ciebie odmieńcze.

Szwagier. Chodź prędzéj do tego siana, bo potém będzie inna robota.

Franek. To sem jutro pójdziem.

Szwagier. Jutro? Przecięż jutro niedziela, czy nie wiesz?

Franek. To sem szecko jedno. My wojaki szance stawiali i w niedzielę, bo to je holt powojeńsku.

Szwagier. To co innego, kiedy przy wojsku jest jaka nagła robota. Ale my tu w niedzielę nie robimy, bo mamy na to sześć dni.

Franek. No to je taki recht.

Szwagier. Chodź prędzej, bo już na południe przedzwonili.

Franek. Ja ne chcem! Ja holt raczej będę rukował do regimentu.

Szwagier. To idź na cztery wiatry, niech ci tam dadzą jeść.

Franek. No poczkają sem szwagierku! ale ja pojdziem parad.

Szwagier. To w mundurze pójdzież na łąkę?

Franek. No, a jako? cywil?

Szwagier. Jużcić cywil, bo w pole do roboty nikt nie chodzi ubrany, tylko w koszuli i w białych spodniach; a jak chcesz parady, to się opasz powrósłem.

Franek. A będą tam żeńskie? to się wstydam.

Szwagier. To się robić wstydzisz? A przypatrzno się panu Romanowi, co jest komisarzem we Lwowie! Jak przyjedzie do ojca w lecie na parę niedziel, to prawie cały dzień przepędzi z ojcem na polu. Kiedyś oba pérz grabili, a pan Roman szedł z pola boso, zakurzony, kieby śmieciarz. Raz mówię do niego: Na co też to panu komisarzowi tak się po polu poniewierać, takie piękne, delikatne ręce walać pérzem; czyby nie lepiej pójść do dworu w odwiedziny, albo do księdza, a byliby panu bardzo radzi. A p. Roman tak gadał: Ja we Lwowie chodzę między panami jak pan; a tu znowu między swymi, jak i wy. Mnie tak najmilej chodzić, bo waszą pracę bardzo lubię i cenię. Moi przodkowie tak pracowali, dlaczegóżbym ja się wstydził? Mnie tu milej chodzić boso po ścierniu, niż we Lwowie w lakierowanych butach po bruku.

Otże, uważ sobie mój Franku, i weź sobie na przykład pana Romana. On się nie wstydzi pracy, choć pan, a tyś co, parobczak kiepski!

Franek. Co ja je? Ja sem wojak! a Roman sem cywil takowy! Każdy wojak starszy od cywila!

Szwagier. Już się wszystko we mnie burzy na twoje głupie gadanie. Siedź w domu, a ja pójdę sam do siana, ale poczekaj! Kto ci da jeść?

Franek. No idą naprzód, a ja idziem taki doraz.

A. Skoczek z Radomyśla.

ZABAWNE ZDARZENIE.

Przed dwoma laty do pewnej wioski górskiej, niedaleko Suchej, przybył wieczorem pan jeden i chciał zanocować. Wstąpił do najbliższej chaty i pyta, czyby go na nocleg nie przyjęto, bo późno już jechać dalej, a na dworze wietrzno i ciemno.

— A to i zostańcie, mój panie! powiedziała kobieta — chociaż mojego nie ma w domu!...

Pan ów kazał zaraz znieść z wózka swoje rzeczy, rozłożył niektóre, a rozglądając się do koła, tak się po chwili odzywa do kobiety:

Powiedzcie mi, moja gosposiu, dla czego wy nie dbacie o lepszy porządek w waszej chacie? Nieporządek niszczy zdrowie, psuje rzeczy i na szkodę wychodzi człowiekowi.

— A gdzieby tam człowiek miał czas na wszystko! — odpowie kobieta. — Nasi ojcowie tak mieli w chatach, a może jeszcze i gorzej, a i tak późnego dochodzili wieku...

— To nie racya — odrzekł pan — że żyli długo; dzisiaj inne czasy, dawniej były inne... Dziś świat postępuje, trzeba się nauczyć niejednego, o czem się dawniej nie wiedziało!...

— Zawsze tam tylko z tą nauką! — odfuknie kobieta — wy w miastach macie spokojne głowy, to sobie możecie myśleć o nauce, nam we wsi trudno. Dla nas wystarczy to, o czem wiemy...

W tem poderwie pan i tak powie:

— Kiedy wystarczy, to dobrze. A teraz nie moglibyście mi też, moja gosposiu zagotować wody?

— A to na co? — rzeknie zmięszana gospodyni.

— A przecież nie będę was parzył — odpowiedział pan — ani nie na jakie czary... Chciałbym sobie oto zrobić ciepły napitek, bom przemarzł w drodze.

— I ze samej wody? pyta kobieta.

— Będziecie widzieli, co z nią zrobię — mówił pan — tylko nastawcie zaraz wody, a gdy wrzeć będzie, to mi powiedźcie!

Kobieta nastawiła wody i wielkiemi oczyma patrzy raz na wodę, czy się z nią przypadkiem co nie stanie, drugi raz na pana, a o duszy myśli sobie, że trzeba będzie lepiej odprawić pana z noclegu, bo to nie żarty, to jakiś czarownik...

— Czy wrze już woda? — zapytał pan.

— Ot prawie — bąknęła kobieta.

Pan rozwija papier, wyjmuje herbatę, wrzuca jej trochę do wody, przykrywa pokrywką i czeka.

Kobieta zbladła.

— Ależ na Boga nic wam się nie stanie — zawołał pan.

Kobieta nic się nie odzywa.

— Patrzcież! — tłómaczył pan — co robić będę!

I to mówiąc, wyjął z torebki szklankę, przecedził do niej wodę herbatą nasyconą, włożył cukru, dolał trochę araku i pije. Kobieta oczom swojem nie wierzy, ze to pić można.

— Ależ to dobry trunek! — powiedział pan — ja i dla was zrobię szklankę...

— O nie chcę; pijcie jeszcze jednę, to się przekonam, gdy się wam nic nie stanie....

Pan wypił jeszcze jednę szklankę, potem trzecią przyrządził dla góralki, która przytknąwszy do ust, pić nie chciała.

— Ależ nie bójcie się, nic wam się nie stanie! mówił pan, uspokajając niedowierzającą góralkę.

W tém napiła się trochę.

— A to przecie dobre — powiedziała — I z czegóż wy to robicie? Jabym także mojemu zrobiła, gdy zmęczony powróci z drogi...

Panu błysnęła myśl pusta i mówi:

— A z czegóżby innego, jak nie z tytuniu, co to wasz pali we fajce...

I to to z tego? — przerwała zdziwiona góralka — A czemuż to takie dobre?...

— A bo się do tego dodaje cukru i araku — tłomaczył pan.

— To mi zostawcie po troszce obojga, a ja już za nocleg nic żądać nie będę.

Uczynił pan zadosyć życzeniu góralki i niebawem położył się na słomie, którą mu rozścielono, a nazajutrz ruszył w dalszą drogę, zapomniawszy sobie o wczorajszej pogadance.

Powracając po trzech dniach z swojej podróży, przybył znowu do owej wioski. Przypomina sobie tedy zabawne zdarzenie w chacie, w której był na noclegu, spieszy tam natychmiast, by przestrzedz kobietę, aby z tytuniu herbaty nie robiła.

Zaledwie wszedł do chaty, kobieta poznawszy go odrazu, temi go wita słowy:

— A niechże was, mój panie, kaczka zdepcze, coście wy nam porobili!...

— No i cóż takiego? — pyta pan spiesznie.

— Toć przecie wiecie, coście mi zrobić kazali! Nagotowałam wody, wsypałam *tabaku*, dodałam cukru i araku, aleśmy oboje pić nie mogli... Może był zły tabak, albo mało cukru... Tfu! jakie też to było gorzkie!...

— Właśnie przyszedłem was przestrzedz — odpowie pan — żebyście tego nie robili. Ja tylko z was zażartowałem, a to tymczasem zrobiliście na prawdę. To, co wsypałem do wody, nie był tabak, jeno herbata, którą sprzedają w sklepach. Ale zawsze ztąd jest dla was nauka, że to nie prawda, coście powiedzieli, że dla was wystarczy to, o czém wiecie — bo człowiek wiele wiedzieć powinien i nie przestawać na tem, co przodkowie nasi wiedzieli... Powinien postępować z światem!

Kobieta zadumała się po tych słowach — pan polecił ją Bogu i odjechał dalej.

Z tego zabawnego zdarzenia jest nauka nie dla jednego, żeby nie poprzestawał na tem, co wié, albowiem przez niewiadomość często zaszkodzić sobie można. Czytajcie więc, kochani Czytelnicy i nabywajcie coraz więcej wiadomości, a lżejsze będzie wasze życie, czego wam życzę z całego serca.

Wasz przyjaciel

Józef z Bochni.

ROZMAITOSCI.

— **Rada powiatowa** w Brzezowie zaprenumerowała 2 egzemplarze. Rada powiatowa w Jaśle zaprenumerowała 1 egzemplarz „Włościanina.“

Szkoła ludowa w Wadowicach, zaprenumerowała 5 egzemplarzy „Włościanina.“

Pismo nasze, zyskuje coraz większe poparcie, i jeżeli przez to dojdziemy do tysiąca prenumeratorów, to będziemy mogli zniżyć cenę przedpłaty.

Przy tej sposobności, zaręczyć musimy Szanownym Czytelnikom, że „Włościanin“ nadal bardzo regularnie wychodzić będzie, ponieważ zmieniliśmy administrację — i zaprowadziliśmy nową, która tak będzie gospodarować, żeby nigdy żadnego nie było opóźnienia.

— **Zjazd krakowski.** Wiele było uciechy w Zielone święta w Krakowie. Gości zjechało się sporo — a bawili się wszyscy przyjemnie i nie jednego można się było nauczyć, a wiele pożytecznych rzeczy nasłuchać.

W niedzielę rano o w pół do 6tej, zeszło się dużo ludzi na dworcu kolei — a na czele straż ochotnicza ogniowa, z muzyką z Wieliczki. Muzyka przygrywała pieśni narodowe, a ludność z upragnieniem oczekiwała gości ze Lwowa. Nadchodzi pociąg z wagonów odzywa się muzyka, a z okienek pokazują się białe czapki polskie, z piórkami. Pociąg się zatrzymał, a z wagonu wysiadło przeszło 350 osób w gościnę do Krakowa przybyłych. Na dworcu kolei witali gości naszych mieszkańcy Krakowa w wielkiej zebrani liczbie, boć przecież każdy cieszy się na swego gościa, a ci co przybyli byli gośćmi nas wszystkich. I nie żałowaliśmy całkiem, żeśmy wyszli naprzeciw nich, bo na każdym z nas miłe wywarli wrażenie „Orły białe,“ których w gościnę do nas przeszło stu przyjechało. Ale ja wam mówię o „białych Orłach,“ a wy może jeszcze nie wiecie co to znaczy.

„Orłem białym“ nazywa się lwowskie towarzystwo gimnastyczne, złożone z obywateli, studentów i rękodzielników lwowskich, którzy w wolnych chwilach uczą się gimnastyki, t. j. ćwiczą w zręczności swoje ciało, a jak mają więcej czasu, to się wybierają w różne strony kraju naszego dla poznania tegoż. Ażeby zaś mogli między sobą utrzymać porządek i poznawać się wtedy, kiedy występują razem, są jednako ubrani. Polskie białe czapeczki z naszym orzełkiem, w granatowe kurtki i spodnie, oraz wysokie polskie buty. Dobre to takie towarzystwo, bo i zdrowie się polepsza gdy się ciało wyrabia, ale i dla duszy pożytek dlatego, że należąc do takiego towarzystwa, można poznać tanim kosztem braci jednym językiem mówiących i jednego Boga chwalących. Z kolei odprowadziliśmy gości naszych aż na plac franciszkański, gdzie ich rozkwaterowano t. j. pozapraszaliśmy ich między siebie, boć przecie gościa nie można puścić do jakiego domu zajezdnego i na koszta narażać. Po całonocnej jeździe byli Lwowiacy zmęczeni, więc jedni poszli sobie wypocząć, ale większa część nie zważając na zmęczenie, udała się do Katedry na nabożeństwo; a dopiero wieczorem wszyscy zebrali się, aby razem z ogromną liczbą Krakowian, wyjść uaprzeciw Szlązaków. Po dziewiątej przyjechali w istocie goście ze Szląska, w liczbie około trzystu, prawie wszyscy wieśniacy z żonami swojemi. Tych dopiero Kraków serdecznie przyjmował. Boć dopiero od dawnego czasu pierwszy, a da Bóg, z pewnością nie ostatni raz przyjmowali Krakowiacy swych braci Szlązaków. Z kolei prosto zaprowadziliśmy gości szlązkich do ogrodu strzeleckiego, gdzie na nich czekała zastawiona wieczerza. Tutaj przywitało gości naszych dwóch z tych, co się przyjęciem gości zajmowali.

Mowy te poruszyły słuchaczów i na nie odpowiedział w imieniu Szlązaków Cięciała, wójt z Mistrowic (wsi koło Cieszyna położonej) tak serdecznie i tak ślicznie, żeśmy się popłakali z radości. Mówił o tem jak się kochać i uczyć powinniśmy, aby nam dobrze było na świecie. Mówił potem, po co się takie zjazdy odbywają, ale nad tem zastanowimy się obszerniej po opisaniu zjazdu, boby dziś na to miejsca i czasu nie stało. Później mówiło wielu. a może najbardziej podobała się mowa Glajcara, kmiecia ze Sibicy. I tak zeszło aż do północka, to na słuchaniu przemówień, to na pogadankach z gośćmi naszymi i wieśniakami z okolic Krakowa, których także trochę było. Już dobrze po północku rozeszliśmy się na spoczynek.

Na drugi dzień wybraliśmy się z gośćmi, którzy po większej części miasta naszego nie znali, na poznanie się z miastem wprawdzie nic największem, ale najmilszem dla każdego zrodzonego w naszej ziemi. Chcieliśmy wieśniakom szlązkim tłomaczyć te drogie i piękne pamiątki w naszej wawelskiej Katedrze się znajdujące, ale jakżeśmy się zdziwili i ucieszyli, że oni chociaż nigdy w Krakowie nie byli, i chociaż są prostymi wieściakami, już o wszystkiem z książek i pogadanek wiedzieli, chociaż tak daleko odlegli. Gdyśmy już wszystko na zamku krakowskim oglądnęli, poszliśmy razem z niemi dla zobaczenia gabinetów uniwersyteckich; a gabinetem nazywa się zakład, gdzie są przedmioty naukę jakąś ułatwić mogące, np. nie można dobrze nauczyć się zoologii, tj. nauki o zwierzętach, jeżeli się ich nie widzi, bo swojskiego gada zna się i jak się o nim czyta to tak, jakby go się widziało, ale gdzieindziej w innych krajach inne są zwierzęta, to trudno sobie z samej książki dobre zrobić wyobrażenie; w wyższych więc szkołach gdzie się każdy tego co mu potrzeba i do czego ma chęć, jak najobszerniej uczy, a które to szkoły po naszemu, dla tego zowią się Wszechnicami, a z obca Uniwersytetami; znajdują się takie zakłady, naukę ułatwić mogące np. w gabinecie zoologicznym znajdują się najważniejsze zwierzęta, tak nasze jak obce, aby ten co się uczy, chociaż w kraju zkąd zwierzę pochodzi nie był, przecież je widział i dobre o nich miał wyobrażenie. Poszliśmy tam z naszemi gośćmi z włościanami ze Szlązka dla tego, bo sami chcieli widzieć gdzie się ich dzieci uczą i czem mają naukę ułatwioną. Bo trzeba wam wiedzieć, że w naszej krakowskiej Wszechnicy, dużo jest uczni synów kmiecych ze Szlązka. Dla tego Szlązacy i dobrze się mają i są wykształconymi. Boć jeżeli kto do szkoły syna posyła, to się i od syna czegoś dowie i samego zbierze ochota do przeczytania czegoś, a czytając, dowie się wiele pięknych i pożytecznych rzeczy; a jeżeli syn już wyjdzie na co, to przecie i pomoże i poradzi w potrzebie rodzicom.

Aniśmy się nie obejrzeli, jak na oglądaniu tych ciekawych rzeczy zeszło nam całe rano, aż nareszcie głód nam przypomniał, że to już dobrze z południa, rozeszliśmy się więc na obiad.

Po obiedzie zebraliśmy się znowu razem i udaliśmy się na zobaczenie wystawy przemysłowej, tj. dla zobaczenia rzeczy wystawionych na pokaz i naukę dla chcących korzystać z najlepszych wyrobów krajowych. Bywają takie w naszym kraju wystawy rozliczne, gdzie znowu pokazują piękne bydełko, dobre narzędzia rolnicze, skrzętnością i pracą polepszone płody ziemi, ot np. taka wystawa jest teraz w Przemyślu, a kilku wieśniaków dostało za swoje piękne bydełko nietylko pochwały, ale i pieniężne wynagrodzenia. Obaczywszy wystawę, udaliśmy się na błonia a ztamtąd z muzyką „Orła“ na kopiec Kościuszki. Poszliśmy tam nie dla tego, że z Kopca pięknie wszędy widać, ale dla tego, że każdemu co zna naszą przeszłość, i każdemu coście czytali „Nowiny ze świata“ miło sobie wspomnąć takiego męża, w tem miejscu, gdzie mu lud przez wdzięczność, na wieczystą pamiątkę, niezatarty pomnik, bo taką ogromną górę usypał. Ztamtąd udaliśmy się na Wolę justowską, gdzie się piękny przy dworze ogród znajduje i gdzie nas tamtejsi Włościanie, chcący poznać swoich braci z tak daleka przybyłych, poznali z sobą i o różnych pożytecznych rzeczach radzili. A był tam wójt

z Woli, który pięknemi słowy nas przywitał i mówił: „Choć nawet nie wiem, gdzie jest Wielkopolska, toć przecie radosnem sercem witam Wielkopolan.“— Ot, żeby pan wójt przeczytał „Włościanina,“ toby go „Pogadanki o ziemi i ludach“ dostatecznie pouczyły gdzie jest Wielkopolska. — A był i nasz znajomy Maciej Szarek z Brzegów, pod Wieliczką, o którym pan Józef z Bochni na początku nam pisze.

Gadali tam o urzędach gminnych, o posłach jakich wybierać należało, i zgodzili się, aby wybierać tylko takich, co chcą dobra, tj. co nie zapierają się języka i ziemi swojej, co kochają lud, którzy mają rozum i zastanowienie, i którzyby lud w sejmie dobrze zastępować potrafili. Przy końcu zabawy przemówił wójt z Woli justowskiej, szanowny Waligóra, tak serdecznie dziękował gościom za to, że przybyli, tak prosto z serca mówił o swojem przywiązaniu do ziemi z której wyszedł, że wzbudził tak ogromny zapał, że go razem z Cięciałą, o którym już mówiłem a który także przemówił — na rękach wśród okrzyków, noszono.

Z nadchodzącym zmierzchem goście, gospodarze i publiczność wyruszyli przy odgłosie muzyki do miasta. Przez całą drogę na Błoniach paliły się beczki smolne tworzące rodzaj szpaleru; już od mostu widać było bardzo wiele osób wyszłych z miasta naprzeciw powracających, a im bliżej rogatki tem bardziej rosły tłumy publiczności. Na wałach niedaleko miasta ustawione były transparenta z napisami: „Kochajmy się“ „Postęp“ i Łączmy się,“ tudzież ognie sztuczne, przy których blasku już późnym wieczorem godownicy przybyli do miasta.

Na trzeci dzień odbyła się wycieczka do Wieliczki, przy bardzo licznym udziale publiczności, bo podobno 2,500 osób wyjechało z Krakowa.

Z Wieliczki wrócili Lwowianie wprost do domu, a Szlązacy wstąpili jeszcze do Krakowa, aby się nacieszyć pamiątkami przeszłości i miejscami, po których kroczyło wielu Świętych Pańskich.

Z tego zjazdu, skorzystaliśmy wiele. Poznaliśmy wieśniaków Szlązkich — i przekonaliśmy, że choć są włościanami, mają taką oświatę i rozum taki, jak u nas mieszkańcy miast.

Oj bracia, bracia! Zabierzcie się do nauki, do czytania, oświecajcie rozum i serce, abyście wstydu nie robili tej ziemi, która Was zrodziła. Patrzcie na Szlązaków, jak oni bogaci i światli. A dla tego są bogaci, że mają oświatę — że umieją mając oświecenie — zbierać majątek i używać go z korzyścią dla siebie i drugich.

Książki pożyteczne do czytania dla bibliotek ludowych poleca się:

Darowski W. Katechizm rolniczy dla młodzieży wiejskiej, 30 cent.

Krótki rys hodowania zwierząt domowych ze względu na ich wydoskonalenie i użytek w pracy, 10 c.

O sposobie poznawania mleczności krów, 10 cent.

Nauka o nawozach, czyli podręcznik praktyczny dla gospodarzy wiejskich z figurami w tekście, 85 c.

Uprawa ziemniaków, przez Guolicha, 36 cent.

Uprawa roślin pastewnych i ich użytkowanie na paszę, 2 tomy, Złr. 3 cent. 75.

Opowiadanie o Xiędzu Piotrowiczu, obrońcy św. wiary katolickiej i nowych gwałtach, dokonanych przez Moskali w Wilnie, w dzień Zwiastowania Najświętszej Maryi Panny w roku bieżącym 1870. Drukowano we Lwowie, kosztuje 3 cent.

Pan Wojciech. Wzór pracy i oszczędności, wydanie piąte przejrzane i poprawione, 2 tomy w jednym. Odbito w Warszawie, cena Złr. 1.

Pobudki do pracy czyli rozmowa dwóch młodych ludzi o życiu. Drukowano w Warszawie, cena 45 c.

Cudowna potęga rydla i pługa, skierowana do pręta morgi i włóki ziemi, wydanie trzecie, przez Wojciecha Jastrzębowskiego. Warszawa, cena 85 c.

Higena popularna czyli nauka zachowania zdrowia dla ludu wiejskiego, ułożona przez L. Bokiewicza lekarza, wydanie drugie, drukowano w Poznaniu, cena 95 cent.

Andrzej Frąckowiak, włościanin wzorowy, czyli Nowa-wieś. Powieść z życia ludu wiejskiego, opowiedział i objaśnił różnemi rysunkami Jan Skowronek. Drukowano w Warszawie, cena Złr. 1.

Wiejskie pogadanki niedzielne, przez F. S. D. Drukowano w Warszawie, cena 34 cent.

Opowiadania starego nauczyciela, przydatne dla czytelników wiejskich, oraz dla dzieci wszelkiego stanu. Drukowano w Warszawie, cena cent. 50.

Mały zbiorek ku zabawie i pożytkowi tych, którzy już gładko czytają, wyjęty z różnych ksiąg, przez Kazimierza Góralczyka. Odbito w Warszawie, cena 25 cent.

Pomoc własna, dzieło Samuela Smilesa, serya druga spolszczona. Warszawa, cena Złr. 2 cent. 50.

☞ Książki te nabyć można wprost z Redakcji „Włościanina“, lub z księgarni Wł. Jaworskiego w Krakowie.

CENY ZBOŻA W BOCHNI.

	Złr.	kr.
Pszenicy . . korzec	10	50
Żyta . . . . „ .	6	20
Jęczmienia . . „ .	5	20
Owsa . . . . „ .	4	10
Kukurudzy . . „ .	—	—
Hreczki . . . „ .	—	—
Koniczyny . . „ .	50	—
Rzepaku . . . „ .	13	70
Grochu. . . . „ .	5	—

Wydawca i redaktor odpowiedzialny: *Czesław Pieniążek.*

☞ Do dzisiejszego numeru, dołączamy program i cennik „Biblioteki Mrówki.“ Wydawnictwo to polecamy serdecznie wszystkim, którzy tylko czytać wiele pragną.

Właścicielka: Salomea Jordan. W Drukarni W. Jaworskiego w Krakowie.